

# TYGODNIK LWOWSKI.

PISMO LITERACKIE.

Wychodzi każdej Soboty 1 lub 1½ arkusza. Cena kwartalna we Lwowie 1 Złr. — Na prowincyi z przesyłką pocztową 1 Złr. 15 kr. m. k. — Pieniądze przesyłają się bezpłatnie pocztą wprost do księgarni K. Wilda we Lwowie, wyraziwszy na kopercie: „Przedpłata na Tygodnik lwowski.“

## Odpowiedź na krytykę Wojny Chocimskiej,

w numerze 26. Dodatku literackiego do Czasu umieszczoną.  
(Dokończenie.)

Krytyk mówi, że autor w tymże ustępie wzmiankuje o swojej osobie tylko *mimochodem*, nie chce pominąć ani jednego szczebla w rodowodzie domu swego, jakoteż że imię swoje jawnie tylko dla rymu położył. Przytacza więc krytyk znowu tylko dwa wiersze odejęte od poprzedzających i następujących i zamiecha o dodatku dotyczącym Pisarskich i o dedykacji dzieła: *Navigium laureatum*; przytoczonym zaś dwom wierszom takie daje objaśnienia w nawiasie:

Jakie czynił odwagi (dział twój) i tu jakie po nim  
Syn jego a kochany (właściwie kochający) ojciec  
..... twój Hieronim.  
Zapewne panie krytyku, jeżeli się godzi podejść kontusz na frak i powiedzieć: to Francuz! Ale przypuśćmy na chwilę że prawidła krytyki pozwalają rozrywać miejsca należące gramatycznie i logicznie do siebie; że wolno jest zamieniać wyrazy autora na inne; że tak jest jak chcesz: Hieronim żyje, pisze dedykację i wspomina jak mówisz *mimochodem* o sobie; coż wtedy? oto następuje zaraz po słowach: „*W grobie się nie sawarła*“ najszumniejszy panegiryk którym autor sławi ojca i dziada:

..... będą wiekowały  
Ich szczęśliwe urobki, poki rzeki w morze  
Płyną, poki człek ziemię dla żywiołu orze;  
Poki zima za latem, noc za dniem w kolei;  
Póty ich stawać będzie w piersiach ludzkich dziei.  
Będą je sobie późni przez ręce prawnicy  
Podawać, i t.d. i t.d.

Miałby to mówić o sobie autor który (str. 43) tak mówi:

Wiem ja że nie bez wstydu z strony to obojej,  
Tak w oczy chwalić, jako słuchać chwały swojej.

Miałby tak mówić o sobie autor który szuka przykładów dedykacji krewnym pośród innych autorów, aby nie zgrzeszyć zbytnią pamięcią o swoich? Czy to znaczy wspominać o sobie *mimochodem*? Czy krytyk myśli na serjo, że ziomkowie w kraju są tego rodzaju znawcami, iż wezmą ten panegiryk za słówko powiedziane *mimochodem*? Lecz ktoż to tyle śmiałości, odwagi pokazał? — Nie masz podpisu! . . . i to podobno cały rozum krytyki.

Z podobnie poczeiwą taktyką i w głębokiej swojej pokorze, której rodzie pychy nie podszeptać nie zdoła, z wyraźnych słów autora opisującego potrzebę pod Chocimem „*ja tam nie był*“ wydobyl krytyk taki wniosek: *Autor*, mówi on, *mógł tam być albo mógł i nie być, albo tylko w tem miejscu nie był gdzie ptaki od huku dział spadały.*

Podobnie i w podobnych zamiarach zbija krytyk analogję którą autor usprawiedliwia swoją dedykację i nieuje ją tak ażeby zdanie wydawcy obalić, że Jan Lipski jest synowcem Andrzeja. Jest to znowu próbka głębokiej pokory i czystych zamiarów krytyka; obaczmy ją bliżej.

Autor mówi w dedykacji tak:

„*Nie wadziło to nigdy wielkim i piśmiennym ludziom, jako Pliniusowi, gdy synowcowi; Senecie, gdy własnym synom swoim; ale i za pamięci naszej, nie wadziło Pawłowi Piaseckiemu biskupowi przemyskiemu, kiedy także rodzonemu synowcowi swemu, opatowi mogiłskiemu, swoje dedykował historję.*“

Jasną jest rzeczą, że autor szuka podobnych przykładów dedykacji pośród innych rodzin, ażeby mu nie zarzucono że *pro domo sua* wyłącznym jest zapaśnikiem. Wybiera on przykłady dedyka-



cyj synowcom w większej liczbie a przykład Seneki jako *argumentum a fortiori* stawia. Coż można wniesć rozsądnie z tej analogji? Oto że ten któremu autor dedykuje poemat swój, jest *także* synowcem. — Analogji istota w tem zależy, żeby się opierała na więcej podobnych przypadkach, nie na jednym i to różniącym się od przypadku danego. I nie sprzeciwiają się tej analogji dwa ostatnie wiersze dedykacji:

Tegoś szczerze, bo ojciec kochający życzy,  
Co w tobie wszystko szczęście za swe własne liczy.

Bo ileż powodów w życiu rodzinnem, w życiu społecznem nawet, do imienia ojca! Mógł Andrzej być opiekunem niegdyś Jana; mógł ten tytuł opierać się na serdecznej zażyłości starszego z młodszym; mógł go przysposobić za syna aktem cywilnym w widokach spadkobierezych; mógł mu swoją fortunę już za życia zapisać i t. p. wypadki. I tylko tak uważając rzeczy można pogodzić niektóre miejsca które, inaczej uważane, mogą być niepojętymi sprzecznościami co do stosunku autora z Janem Lipskim. Wszakże przypuścimy że się rzecz ma odwrotnie: że autor, jak utrzymuje krytyk, *idzie w ślady Seneki i synowi swojemu dzieło poświęca*; coż wtedy? oto analogja z siebie słaba, bo tylko jeden za nią przykład przemawia, a autor ją jeszcze bardziej osłabia, przywołując dwa przykłady, które pod względem samochwalstwa wśród rodziny (: rzecz której właśnie autor unikać chce:) prędzejby uszły jako odnoszące się już do dalszych związków w rodzinie a zatem do mniej rażących. Kto więc autorowi chce przypisać logiczność w myśleniu i nie ma powodu odmówić mu jej, ten w uczciwości chrześcijańskiej weźmie autora za to, za co on się sam sprzedaje, nie zaś za to czem on być nie chce i czem być nie dał powodu. Ale nasz krytyk tak argumentuje: *Słówek także ściągga się (sic!) do Pliniusza, którego przykład Piasecki pod względem dedykacji naśladował i wnosi natychmiast: autor więc, jak dowiodłem, był rodzonym ojcem a nie stryjem osoby, której dzieło za przykładem Seneki przypisał w upominku (sic!).* A winszuję waćpanu tej kozackiej logiki!

Niemogę tu pominąć jeszcze jednego szczegółu którego krytyk albo nie mógł albo nie chciał rozważyć. Powiedziałem w przedmowie tak:

„Z tego cośmy dotąd powiedzieli, *zdaje mi się iż czytelnik powinienby powziąć przekonanie, że Andrzej Lipski stryj Jana starosty czechowskiego jest autorem wojny chocimskiej, i to właśnie spowodowało mnie, iż imię jego położyłem na czele niniejszego dzieła.*“

W tej mowie niemasz categorycznego sądu: *oto Andrzej Lipski jest autorem*: wiedziałem albowiem, że dowód mój nie jest dowodem wprost, lecz jest dowodem opartym na zbiegu dat czyniących prawdopodobieństwo najwyższe. Póki więc daty, na których opieram mój wniosek, nie są odparte nowemi jawniejszemi dowodami, póty twierdzenie moje warunkowe, że Andrzej Lipski jest autorem, stoi niezaprzeczone. Pokażą się z czasem daty oznaczające kogo innego autorem, lub wykazujące niemożliwość mego twierdzenia warunkowego? natenczas twierdzenie moje ustąpi miejsca innemu. To najwyższe prawdopodobieństwo spowodowało mnie, że na czele dzieła położyłem imię Andrzeja Lipskiego i mam do tego upoważnienie z praktyki literackiej dawnych i nowych wydawców. Spójrzmy na wydania klasyków rzymskich z których nie jeden stoi na czele dzieła całego lub w części przynajmniej nie własnego; dzisiejsze nawet wydania ich nie odmieniają formy i zawierają w sobie części później podrobione; objaśnione wzmianką tylko o wątpliwej autentyczności. Że wspomnimy tu tylko tak zwane Cyserona 4 księgi *Rhetorica ad Herennium*, tudzież *Liber de consolatione*. I w naszych czasach Pertz wydając ułamki zatraconej jakowejś historii rzymskiej z *palimpsestu* i nie mając pewności który z historyków ją pisał, wydał ją według najbliższego podobieństwa stylu pod tytułem: *Bruchstücke des 98ten Buchs des Titus Livius*. Smiem twierdzić, że daleko ważniejsze dowody spowodowały położenie imienia Andrzeja Lipskiego na czele dzieła. i że w tej mierze mniej jeszcze mam prawa do przydomku którym mnie nasz krytyk obdarza, niżeli zaszczytnie znany niemiecki uczony i wydawca



Żałuję nie pomału, że nie mam szczęścia bliżej poznać mego krytyka. Bezimiennosc jak noc cymbryjska zakryła jego pobożne i pokorne oblicze, i niestety! nie będziemy wiedzieli, kto literaturze naszej uczynił tak ważną przysługę wynalazkiem użycia krytyki za parawanik swoich osobistych uraz, za służebnicę swojej prywaty. Mniejśza o twoje fochy, panie krytyku! nie wiem komu z nas dwóch publiczność każe tańcować na deskach parafianaszczyzny; ale przydomek „lada“ lepiejby przystał do twojego urzędu. Żałujemy bardzo, że Rzeczpospolita babińska nie dożyła naszych czasów; ot byłbyś miał w niej także znakomity urząd! (a zdaje się że lubisz urzędy.) Wtedyto Czas, wielbiciel rozmaitych znakomitości, otworzyłby dla pióra twego nie półtrzecia, ale przynajmniej sześć kolumn, a zdziwione echa w pokorze powtarzałyby:

„Obaście siebie godni, obaście wieczyści:

Tys godzien organistów, ciebie organiści.”

Lwów d. 21. Sierpnia, 1850 roku.

**Stanisław Przytycki.**

### **Chód o pół nocy.**

Z niemieckiego: Grzegorza Herregha

ktumaczył Adam Rajgert.

1.

Wraz z duchem północy, ja stąkam milczący

Przez ciche, szerokie ulice,

Tu płacz przed godziną, tam śmiech był krzyczący,

A teraz sen zamknął żrenice.

Już zwiedła wesołość do kwiatu podobna,

Spienione puhary przestały już lśnić!

Wraz z słońcem zgasł smutek, i troska żałobna;

Świat spoczął znużony — O dajcież mu śnić!

2.

Nienawiść ma zgasła i gniew się rozprysnął,

Gdy walkę skończyły dnia burze,

A księżyc łagodnym promieniem wyblysnął,

I olśnia, choć zwiedle już róże.

Jak podzwiek ulotna, bezdźwięczna jak gwiazda,

Niech krąży ma dusza w przestrzeniach tych znów,

chętnie, jak gdyby w własnego głąb gniazda,

W tajniki niech ludzkich zatapia się snów!

3.

4.

Tam chyłka nad brzegiem strumyka, a łożo

W niej głód i niewinność zaległy,

Lecz pan dla wieśniaka, dał jasnych snów róże,

By sny od rozpaczyny go strzegły.

Gdy ziarno mu rzuci snu ręka skrzydlata,

Już niwy złocone wkrąg plonem mu lśnią,

Już chatka w szerokość rozdyma się świata —

O Boże ubóstwa, ubodzy niech śnią!

6.

Przed domem ostatnim na ławce kamiennej,

Z modlitwą na chwilę usiedę;

O, wiecznie, dziecino, Ty twarzy promiennej!

Ja wolność i Ciebie czcić będę.

Na chmurkach, gołębki kołyszą Cię w parze,

Podemną koń dziki się wspina i rży;

Ty śnisz o motylkach, ja o orłach marzę —

O Boże miłości, niech dziewczę me śni!

7.

### **Smutne życie.**

W pośród światowych uciech powodzi

Mojego szczęścia listek nie wschodzi,

Ni mnie godowe wabia puhary

Ani mię bawia wiosenne gwary,

Gdy moje słowo wejdzie śród ludzi,

Jednych rozśmieszysz, drugich unudzi.

Dni me spadają jak ziarenka piasku,

Bez żadnej barwy, woni i blasku

Jedne po drugich — tak całe życie

Upływa w myśli cichym korycie,

I niewiem nawet, nagród Królowa

Czy swoich przysiąg wiernie dochowa,

Czy zechce trudy moje odwzajemnić

Zielonym liściem skronie uwienczyć?

**Wł. Z.**

### **O trudności porozumienia się u nas.**

Dość liczne narzekania na mierność Dzienników, na trudność zebrania więcej sił ku jednolitemu działaniu, na niepodobieństwo prawie ogólnego porozumienia się w nader wielu a wielu dotąd nierozstrzygniętych a żywotnych pytań, — powodują mnie do napisania o tem słów kilka. Nie jestem zdania, iż potrafię wynaleść owe jaja Kolumbowe, któreby temu niedostatkowi stanowczo zaradziły, i o-



wszem, jak się to niżej pokaże, śmiem twierdzić, iż w tym razie żaden wynalazek nic by nie pomógł, — tak samo, jakby i narody ciemne nie mogły przyjsć w jednej chwili do ogólnej oświaty. To złe jest podobne tamtemu.

Jeżeli się nad umysłowem życiem innych narodów zastanowimy i ztąd wynajdziemy, co u nich jest przyczyną łatwości wzajemnego porozumienia się w każdym względzie, to zapewne łatwo nam będzie odgadnąć, że brak tego samego, będzie u nas główną przyczyną tej niezwalczanej trudności. Mojem zdaniem, są to szkoły publiczne. — We Francji na przykład, (przyzwyczajeni jesteśmy we wszystkiem Francję brać sobie za przykład; — acz daleki od tego, ażebym zalecał bezwzględne jej naśladowanie we wszystkim, niewidzę jednak w tem złego, iż by na niej czynić doświadczenia, i zaiste lepiej na niej jak na sobie, niemasz nic łatwiejszego, jak utworzyć stowarzyszenie, w celu jednolitego działania: w dniach kilku zbierze się potrzebna liczba członków, w drugich dniach kilku już się porozumieli i przystąpili do czynności. — I cóż jest przyczyną tej łatwości? Oto ci ludzie w jednych lub na jednym systemie opartych, krajowych, uczyli się szkołach, ich wyobrażenia, ich pojęcia, tak są do siebie zbliżone, że bardzo mało czasu potrzeba, ażeby z po-szkolnych wywnętrzyli się nabytków, — a chociaż ich własne, w sobie wyrobione opinie mogą się i bardzo różnić od siebie, toż zawsze te fundamenta, na których się one rozwinęły, są prawie u wszystkich jednakowe. Ztąd owa możność u nich, mówienia o wszystkim z łatwością i ledwie dotykając się przedmiotu, owa łatwość zrozumienia się za pomocą słów kilku w każdym przedmiocie, bo przedmiot sam jest tak ogółową, tak pospólną własnością że każdy go ma we wnętrzu siebie w całej zupełności, a dodatek indywidualny tak nieznaczny, że nie potrzeba wiele czasu, ażeby go dać poznać drugiemu.

Jakżeż inaczej jest u nas! U nas jeżeli kto co umie, to niezawodnie sam się tego nauczył, sam przetrawił, sam wyrobił, i ma o tem wewnętrzne przekonanie, — u nas można powiedzieć każdy jest samorodny w naukach, autodaktos. U nas niemasz tej świadomości, że ta albo owa nauka obecnie stoi na tym lub owym stopniu w narodzie, więc i każdy aż dotąd jej się nauczył i dotąd umie. U nas każda nauka w każdej głowie na innym jest stopniu, — ten bowiem na niemieckich, ów na francuzkich, inny na angielskich kształcił się wzorach, nie po równej mierze biorąc do tego własnych, ojczystych, — to też i naturalna ztąd gmatwanina pomiędzy umysłami oświeconej części narodu, i tem naturalniejsza trudność zrozumienia się. To też i u nas kiedy się dwóch oświeconych ludzi zejdzie, ileż nie muszą sobie nagadać samych elementarności, ażeby przyjsć do tego, iżby dopiero mogli zacząć mówić o rzeczy; a jakżeż jeszcze daleko zrozumienie się wzajemne? Stare przy-

słowie: że aby poznać człowieka trzeba z nim beczkę soli zjeść, — dopiero dzisiaj znalazło potwierdzenie w rzeczywistości.

Słyszałem nieraz skazujących się na to, że u nas trudno o tak łatwą konwersację, jak we Francji, — skarżący się na to, przypisują to niewyrobieńiu naszego języka. Fałsz wierutny! Niepodobieństwo takiej konwersacji wypływa z tego samego źródła, co i trudność porozumienia się. Jakżeż mogą ci ludzie rozmawiać łatwo o przedmiotach, kiedy każdy go inaczej już w samych elementach pojmuje, jakżeż mogą o nim mówić li powierzchownie, kiedy oni potrzebowali by sobie ten przedmiot wzajemnie aż od abecadła wyłożyć, ażeby wyrozumieli, co który z nich przez ten przedmiot rozumie? Przysłuchując się takim rozmowom francuzów, posadzamy ich, że oni tylko po powierzchni przedmiotu się ślizgają, nie dotykając jego rdzeni, jego miazgi. Nie zawsze to posądzenie, jest prawdziwem. Pomiedzy ludźmi, którzy wykładu pewnej nauki na jednej słuchali wszechnicy, częstokroć, dość jest jednego słowa, jednego wymówionego nazwiska profesora lub dzieła, aby dotknąć się tego przedmiotu jak najgłębiej, niepotrzeba tam długich wywodów i dowodów, porozumienie się łatwe. Tym sposobem dwaj mówiaczy mogli w krótkim czasie jakiś przedmiot obmówić jak najgłębiej i najwszechniej, a niewtajemniczonemu słuchaczowi zdawało się słyszeć gawędkę prowadzoną dla formy lub zabicia czasu.

Owóż więc różnica naszego wychowania i owa samorodność w naukach, jest przyczyną tak w oczy bijącej trudności wzajemnego porozumienia. Pochopność do wyrokowania, lenistwo pobudzające nas do składania przyczyn niejednego złego na jakąś dziedziczność przywar, na pewne przymioty już we krwi będące, z mlekiem wysane, etc. wreszcie niewykorzenione przesady, wywołują nieraz z nas wyznania, żeśmy już na ostatek do tego lub owego całkiem niezdolni. Tak i ową niezgodność w zdaniach i trudność pogodzenia się, przypisywano nie rzadko wrodzonej kłótności Polaków, — niektórzy nawet suszyli sobie głowy nad tem, aby tej natury dowieść sobie historycznie. Wielka to niedorzeczność! Przypomnijmy sobie epokę szkoły Klassyków za Stanisława Augusta, czasy kwitnących nauk w Kongresowem Królestwie, czasy istnienia uniwersytetu Wileńskiego, szkół Krzemienieckich, czyż nie przyznamy że tamci ludzie, acz także niezaprzeczenie byli Polakami, bliższymi nawet tej krwi kłótniej, przecież porozumiewać się mogli, i ku jednemu celowi swe czynności jednoczyć umieli? Niebędzież nam dostatecznym na to dowodem żelazna falanga klassyków stojąca istnie pod kartaczowym ogniem szkoły romantycznej? a szkoła podchorążych, tyle głów i sere, a przecież jedna myśl? a uniwersytet Wileński, rozumiejący się przez lat tyle tak dobrze pomiędzy sobą, jak dziś francuzi. i podobno jeszcze lepiej?



Owóż, co jest przyczyną tego niezrozumienia się, jakie nas ogarnęło dzisiaj; chcemy się tylko zastanowić nad wszystkim, a niezawodnie prawdziwej dojdziem przyczyny.

Pozostaje mi jeszcze wspomnieć, o jednym niedostatku, który z tego samego wypływa źródła. Skargi na słabość i wieczna mierność naszego dziennikarstwa są aż nadto sprawiedliwe. Dziennikarstwo u nas było zawsze słabe, jest słabe, i będzie niem tak długo, dopóki go inne pokolenie w jednej szkole wyuczone na inne stanowisku niepostawi. Jeżeli się zas zdarzy, że się jeden dziennik cokolwiek nad mierność podniesie, to nie na długo, brakiem soków żywotnych, moralnych albo fizycznych upaść musi. Tu już owe źródło złego, wyż wymienione, daleko szerzej swoje wpływy rozpuszcza. Wytlumaczmy się jaśniej.

Jeżeli rzeczywiście jest trudność wzajemnego porozumienia się, to dzieje się to zarówno w mowie, jak i w piśmie. A kiedy tak jest, pytam się, jakim obyczajem może piszący przystąpić do napisania artykułu dziennikarskiego, traktującego o jakiegokolwiek nauce? Pierwszym warunkiem wszelkiego rodzaju płodów dziennikarskich jest bezzawodnie unikanie wszelkich wstępów, intródukcji, przedmów, — dziennikarz musi tak jak rębacz naturalista wpaść od razu na cięcia, in medias res, bez wszelkich przedwstępnych tańców i przygotowań, — inaczej nim przyjdzie do rzeczy, to już całą książkę napisał; — a jakżeż on znowu może wejść in medias res, kiedy te media res leżą na priorach, a priorów jego nikt niezna? Więc któż go zrozumie? Przykład tego mieliśmy na naszych politycznych dziennikach w roku 1848; gdyby nam każdy z tych panów Redaktorów, był naprzód wydrukował z parę tomów, w których by nam był wyłożył teorię swoich politycznych i naukowych zasad, naten czas bylibyśmy zdołali wyrozumieć, czego nas chce nauczyć dziennikiem. Bez tego, pomimo tylu dzienników zostaliśmy w nieporozumieniu, — myśmy milczeli znając tego nieporozumienia przyczynę, ale znaleźli się tacy, którzy czytając którykolwiek z tych dzienników najpilniej, a ani za miesiąc ani za kilka miesięcy, nie mogli dosledzić zasady, na której p. Redaktor coś, bo niewiedzieć nawet i co budować myśli, posadzili pana Redaktora, że nawet on sam siebie niezrozumie. Tak było, — słusznie czy nie słusznie, to nie trudno odgadnąć.

Przeznaczeniem dziennika każdego rodzaju jest, być środkiem porozumienia się pomiędzy literaturą a publicznością. Przy wyż wspomnianych okolicznościach, czy może ten cel być w zupełności osiągnięty?

Ale.. mógłbym być łatwo posądzonym o to, iż dlatego że cel osiągnięty być nie może, to sędzę, że lepiej gdyby całkiem nie było dzienników. Chociaż po części się to dzieje, bo politycznych nie masz u nas dzienników, wszakże jestem zdania, iż dlatego że są trudności, to nieopuszczać ręce,

lecz siły podwajając należy. Kto zwątpił, ten może bezpiecznie położyć się do trumny, nie uczyni ten krzywdy światu. Czego niema dzisiaj, to przy pracy już jutro być może. Do wspólnego dobra wspólne powinny przyczyniać się prace. Dziennikarstwo mogło by u nas wznieść się o wiele i wiele wyżej, niż jest dzisiaj; potrzeba zapewne do tego więcej pracy i usilności ze strony piszących, więcej pomocy i interesu ze strony czytających. Pytanie tylko, kto ma począć? Czy czytający mają skwapliwiej zacząć czytać to, co jest i jakie jest, czy piszący postarać się o to, aby obudzić interes? Zdaje mi się, że to ostatnie. — Wiem bardzo dobrze, że inwokacja choćby niewiedzieć jak szumna do piszących na nic się nie przyda, — ale nieprzeszkadza to zupełnie powiedzieć, że to co jest, jest złe. Zapewne że prace dziennikarskie, pomoc tylko dawana dziennikom, odrywa od prac poważniejszych, — ale kto przedsięwziął czemkolwiek służyć ogółowi, zda mi się, powinien więcej patrzeć na skutek dla ogółu, niż skutek dla siebie. Owe zanadto częste i skwapliwe oglądanie się na skutek dla siebie, jest, niech kto co chce powie na to, — jest zbyt jawną wadą piszących. Zapewne że w kraju, gdzie jedyna nagroda za prace naukowe, jest ta szczypta znikomej sławy, którą dadzą, a czasem i nie dadzą po śmierci, zapewne że tam i wada taka jest mniejszą wadą, niż gdziekolwiek bądź indziej, chociaż gdzie indziej nie masz tej wady zupełnie. Dlatego u nas tem więcej zasługi mieli-by ci, którzy acz ważniejszymi zatrudnieni pracami, niezaniebują od czasu do czasu choć trzaski odpadłe przy ciosaniu owych posągów, udzielać ciekawej profanów gawiedzi. . . profanów, ale zawsze członków tej wielkiej całości, która daje i odbiera sławę nawet największym.

Tym sposobem, przy wzajemnej pomocy i współdziałaniu dałby się przynajmniej jeden krok uczynić na tej drodze, którą za niedostępną uważać przywykliśmy, w tej ciemnicy, którą z przyczyny naszych niejednakowych usposobień w naukach oświecić trudno, dałaby się choć jedna stopa takim objaśnić światłem, które by nas w naszych nieporozumieniach cokolwiek zbliżyło.

Tak ze strony czytających jako i piszących dzielnie i stanowczo podparte dziennikarstwo, jest jednym środkiem, które w społeczeństwach nie zupełnie oświeconych, z przyczyny wychowania wynikającą trudność jednoczenia się na polu myśli, choć w części przynajmniej ułagodzić zdoła. —

Z. Kuczkowski.

### **Tatma i panna Desgarcins.**

— Pan jesteś lekarzem. —

— Ja?

— Wszak pan mi to mówiłeś sam wczoraj, odezwał się



chłopczyna — ja opowiedziałem to pani żebyś pan mógł uzdrowić pannę Ludwikę.

— Rzeczywiście jestem lekarzem — odrzekłem, widząc iż w tej chwili nie było innego środka zaznajomienia się z damami. Wreszcie nie było to tak wielkie kłamstwo. Bo nauka dentystyki spowodowała mnie także do zajmowania się medycyną, więc poniekąd byłem zawsze lekarzem. —

— Więc, mówiła pani Desgarcins, chociaż moją córkę już p. Malouet leczy, to jednak myślałam także o panu i umyśliłam pytać pana o radę, gdy mi to dziecko powiedziało że pan okazujesz tyle udziału.

Już od chwili pałałem ciekawością i chęcią ujrzenia twarzy panny Desgarcins, teraz znajdując najlepszą do tego sposobność, rzekłem drżącym głosem:

— Musiałbym przecież ujrzeć przynajmniej twarz tej pani. —

— Podnieśże welon dziecko moje, rozkazała matka. —

Dwie najpiękniejszych rąk ujęło za końce zasłony — serce moje biło gwałtownie — lecz w chwili gdy twarz odsłonić miała, wyszedł z kościoła ksiądz z kilku znajomymi pani Desgarcins, a Ludwika spuściła swój welon.

— Ten pan niemoże przecież tu przed całym światem dawać swoje rady, rzekła Ludwika — daleko lepiej będzie, jeżeli zechce się potrudzić do nas do domu. —

Byłbym rad ukląkł przed piękną śpiewaczką z wdzięczności że tak uprzedziła moje życzenie, i obiecałem stać się na drugi dzień na ich rozkazy.

Panie mnie pożegnały, ja zaś nader szczęśliwy z tak pomyślnego dla mnie toku rzeczy, zanurzony w najśrodszych marzeniach, udałem się do domu. Gdy się na drugi dzień zbierał pójść do pani Desgarcins, rumieniłem się na tę myśl, że przez kłamstwo wkradam się w jej dom. Uznałem za lepszą, powiedzieć prawdę; napisałem więc list następujący:

Pani!

Niezdolną jest rzeczą dla słusznego mężczyzny przedłużać łudzenie, które jest skutkiem pewnych okoliczności: niepodobną byłoby dlań korzystać z tego. Chociaż się oddawałem kiedyś nauce jednej z gałęzi chirurgicznych, niemogę wszelako uchodzić za lekarza, gdyż wszystkie moje obecne stosunki są tego rodzaju, iż mnie coraz bardziej oddalają od tego powołania — które wysoko cenie, a któremu się poświęcać byłoby dla mnie dziś największym szczęściem. Teraz nie więcej nie pragnę, jak tylko aby mi wolno było spodziewać się, że życzenia moje dla zdrowia panny Ludwiki, którebym tak bardzo rad ustnie wyraził, nie będą źle przyjęte.

Do tego listu dołączyłem zielenik, w którym się znajdowały kwiaty Ludwiki, i posłałem wszystko razem do pani Desgarcins, nakazawszy służącemu wracać jak najprędzej.

Ten dopełnił mego rozkazu, i oświadczył powróciwszy w krótko, iż pani Desgarcins oczekuje mnie dziś, i będzie sobie moje odwiedziny za zaszczyt poczytywać.

W dziesięć minut potem już byłem w drodze do p. Desgarcins. Był to powabny domek biały z zielonemi okienicami wśród miękkiego trawnika stojący. Droga do niego była wysadzona kwitnącymi morwami, zresztą panowała taka samotność w okolicy, niemająca wszelako cechy melancholijnej opuszczenia na sobie, iż ptaki spłoszone ulatywały gdy wszedł do ogrodu otaczającego dom.

Radośne przecucia i zbijanie takowych, rozmyślanie czy mnie oczekuje, jak mnie przyjmie, słowem największe wzruszenie uczyniło mi tę krótką drogę pamiętną na całe życie. Nareszcie stanąłem u kresu.

Niech mi tu wolno będzie opisać mieszkanie pań Desgarcins, bo przywłaszczyłem sobie tę teorię na teatrze, iż niemożna mieć do dobrego wyobrażenia o jakiegokolwiek scenie, nieprzedstawiwszy sobie dokładnie miejscowości.

Pokój, gdzie mnie matka z córką przyjmowały, był mały, o dwóch oknach, które przez współprzymknięte okienice wpuszczały tylko półświatło do pokoju. Popielate obicia z rzucanami gdzie niegdzie kwiatami okrywały ściany. Fortepian stojący między oknami, zdawał się tylko czekać na przyjaźne ręce, któreby chciały obudzić uspione w jego łonie dźwięki. Na środku pokoju stał okrągły stół, na którym się znajdowała waza z porcelany sewerskiej, napelniona konwalia i różami, rozlewającymi zapach po całym pokoju. —

Na przeciw okien alkierz z łóżkiem, które swoim wysokiem i miękkim wyścieleniem wyraźnie zapraszało do spoczynku — w głębi alkierza zaś wisiał portret Ludwiki.

Szafka orzechowa naprzeciw kominka, na tymże zegar przedstawiający wychowanie amora, pastelowe malowidła po obu stronach zwierciadła w popielate oprawne ramy, nareście półka z kilkoma książkami nad Fortepianem, stanowiły prawie całe umeblowanie pokoju.

Gdy wszedł do pokoju powstała pani Desgarcins od okna przy którym była ręczną robotą zajęta, i wyszła na przeciw mnie, Ludwika porzuciła także swoje miejsce przy drugim oknie, gdzie czytała. Ujrzałem tym razem twarz jej odsłoniłą zupełnie — była blada, oko czarne lświące z pod długich rzęsów ożywiało melancholijny układ lica. Na ustach jej malowało się cierpienie, i poddanie się ciężkiemu losowi: — w pół rozwarte uśmiechały się temu światu, podczas gdy wzrok zdawał się szukać w dalekim przestworzu wyższego świata, jakiegoś przedmiotu niewidomego dla otaczających. W jej rysach malowało się jawnie zajęcie jakimś nadziemskim celem, nadziemskimi uczuciami i chociaż w jej uśmiechu znać było udział, nawet współczucie dla otaczających ją, to jednak zdaje się iż oświad-



czenie miłości ze strony mężczyzny przyjęłaby tylko z zadziwieniem.

Pani Desgarcins rzekła podając mi rękę: —

— Bardzo panu wdzięczne jesteśmy za jego otwartość, i choć nie jesteś lekarzem, toś niemniej przeto miłym gościem dla nas.

Na mój ukłon i lekkie zaramienie się, pochodzące z przypomnienia owego kłamstwa, odpowiedziała Ludwika dobro-dusznym uśmiechem, pani Desgarcins zaś tak dalek ciągnęła:

— Wreszcie choć pan lekarzem nie jesteś, trudnisz się przecie botaniką i sprawiłeś nam swoim zielnikiem prawdziwą przyjemność.

— Ja nawet liczyłam na to, rzekła córka, że mi pan Talma raczy dać wyjaśnienie względem cytizu.

To tak wyraźne ściąganie do pierwszego kroku jaki uczyniłem ku zaznajomieniu się z niemi, spowodowało spojrzeć badawczo na pannę Desgarcins; ona się uśmiechnęła zrazu szyderczo, lecz natychmiast przybrała wyraz łagodzący swą złośliwość.

Po półgodzinnej rozmowie, wśród której poufałość między nami znacznie postąpiła, powstałem by oglądać pastelowe rysunki.

— Jak się panu podobają, zapytała matka.

— Bardzo ładne, odrzekłem, któż te obrazki malował.

— Ja, odpowiedziała —

— Jakto, pani?

— O pan tu się znajdujesz między samemi artystkami, nieprawdaż Ludwiko?

— Przecież nie między takimi, jakąbym ja być chciała, szepnęła dziewczica.

— Ah tak! rzekła pani Desgarcins, ona ma pewien zamiar.

— Powiedz raczej postanowienie, matko, bardzo stałe postanowienie, rzekła panna Desgarcins z rozognionem okiem.

— Czy zjednałem sobie już tyle przyjacieli u pani abyś mi to postanowienie udzieliła?

— Ja mam pana za naszego przyjaciela, chcę mu się nawet z czémś zwierzyć później.

— Czy przyrzekasz mi to pani?

— Daję słowo honoru.

I podała swoje białą dłoń którą ucałowałem z rozczuleniem, potem usiadła do Fortepianu.

— Czy pan lubi muzykę, panie Talma? —

— Byłem w kościele kiedy pani śpiewałaś.

— Kiedy panu moja matka pokazała swoje dzieła, więc musisz pan moich posłuchać.

Za chwilę usłyszałem płynącą z pod palców panny Desgarcins melodię cudowną, poetyczną jakiej dotąd niesłyszałem — był to utwór melancholijnej chwili, którego niena-

piśała, ale uznała mnie godnym słyszeć go zaraz za pierwszym poznaniem.

Gdy skończyła, okazałem moje zadowolenie nie płaskaniem rąk, ale sercem i wzrokiem, bo pomimo wszelkiego wstrzymywania się byłem blizkim płaczu. W tej chwili odwołano panią Desgarcins, a ja zostałem z Luizą sam na sam. Wzruszenie które mnie owładnęło podczas grania jej, nie dozwalało mi rozpocząć powszednią rozmowę, zbliżwszy się więc do niej wziąłem ją za rękę i prosiłem aby mi odkryła swoją przeszłość i swoje zamiary na przyszłość.

Ona podała mi rękę bez obawy, bez nieufności i bez tych nagłych poruszeń, pojawiających się u kobiet gdy się zbliża do nich po pierwszy raz mężczyzna którego skłonność przeczuwają.

— Przyrzekłam panu zaufanie moje, rzekła, i dotrzymam słowa, ale dopiero później, gdy się lepiej obeznamy ze sobą, —

Przyjaźny uśmiech towarzyszył tej mowie.

— Ależ, odrzekłem, przyrzeczenie pani ściąga się tylko do zamiarów na przyszłość, ja zaś proszę o udzielenie mi cierpień minionych. Pani jesteś młoda, a jednak marzący wyraz twarzy, melancholijna poetyczność jej duszy każe wnioskować żeś pani dużo cierpieła; zaufaj mi pani, opowiedz bieg swego życia, a jeżeli pani masz przyjaciół którzy ją dawniej znają, to żaden niejest przychylniejszym odemnie.

Niemiałam innych cierpień, mówiła Ludwika prócz bólu piersi dla którego mi lekarz kazał nosić ten szkaradny szarfanowy welon, podobniejszy do muru niż do zasłony.

Przy tem uśmiechała się uśmiechem kobiety ukrywającej przed ciekawością drugich bolesne wspomnienia.

Pani jeszcze mi zawsze nieufasz, ale niesłusznie — rzekłem

Cale nie, odpowiedziała, przeciwnie czuję wielki pociąg do pana, i byłam bardzo uszczęśliwioną kiedy moja matka postanowiła wezwać rady pańskiej. Później gdyś pan w liście oświadczył żeś nie jest lekarzem, jak byłam pierwszą która matkę prosiłam aby pana do nas zaprosić, pojęłam zaraz że pan będziesz mi przyjacielem, tak w tej chwili pojmuję że czas wyjaśnień jeszcze nienadszedł.

— Dla czegoż to?

— Dla czego? — powtórzyła wpatrując się we mnie swemi wielkimi czarnymi oczyma — pozwolisz mi pan być otwartą?

— Zapewne, —

— Więc, oto dla tego bo pan niewidzisz we mnie dziś jeszcze dziewczyny jakąbyś widzieć powinien, bo przekonana jestem że moje wyznanie bardzo boleśnieby pana dotknęło, gdyż okazałoby panu niepodobieństwo jednej rzeczy



o której pan myślisz dla tego że mię dopiero od dwóch dni znasz, nakoniec, bo przyjaźń którą pan dla mnie uczu-  
wasz, nie jest taka, jakiej ja sobie życzę.

Przytem ścisnęła mię za rękę i spojrzała na mnie tak iż  
stłumiła wszelkie wątplenie we mnie.

— Musiałabym być bez rozumu i czucia, dodała, gdy-  
bym panu przy dzisiejszem jego usposobieniu chciała dzie-  
je mego życia opowiadać.

Mimowolnie wypuściłem jej rękę którą dotąd w mojej  
trzymałem.

— Widzisz pan że mam słusność, rzekła z uśmie-  
chem i powstawszy wezwła mię do przechadzki po ogro-  
dzie. Po półgodzinnej przechadźce w towarzystwie matki,  
pożegnałem obie w dość smętnem usposobieniu.

Odtąd bywałem często w domku z zielonemi okienicami.

Widoczną była skłonność Ludwiki dla mnie, nie starała  
się utaić ją, i to mi właśnie było nieprzyjemne. Dziewica  
kochająca otacza się zwykle w obec kochającego mimo  
woli mnóstwem wybiegów i pozorów mających pokryć jej  
skłonność, u Ludwiki właśnie tego niebyło.

Wreszcie ostatnia jej rozmowa wyjaśniła mi zupełnie  
czego się mam spodziewać. Pomimo tego niezaniechałem  
odwiedzin u niej, jedynie dla tego, bo nie mogłem się obejść  
bez oglądania jej, bo ona starała się uczynić mi swoje po-  
stawienie niekochania mię znośnem przez tysiączne wzglę-  
dy i dowody przyjaźni. Nasze rozmowy trwały często do  
późnej nocy; — Ludwika grała, matka jej malowała, ja zaś  
należałem, do domowego towarzystwa. Jeżeli jednego dnia  
nieprzyszedłem wtedy czekały mię nazajutrz macierzyńskie  
wyrzuty, dwa dni zaś jeden po drugim nigdy nie opuściłem.

Prócz p. Desgarcins uczęszczałem do królewskiej szko-  
ły deklamacyjnej, gdzie się uczyłem pod przewodnictwem  
nauczycieli Molé, Fleury i Dugazons. Panie moje nie tylko  
wiedziały o zamiarze poświęcenia się teatrowi, ale wszy-  
stkie moje nauki powtarzałem przed niemi.

Ludwika szczególnie lubiła słuchać mojego czytania, a  
gdym wygłaszał jaki ustęp z dzieł którego z naszych wiel-  
kich poetów, wtedy widywałem ją zadumaną i pogrążoną  
w sobie. Często odczytywała sama jaki ustęp. Chętnie słu-  
chałem jej głosu giętkiego, którego zawsze dobrze używa-  
ła. — Wskutku tego stawały mi się ćwiczenia szkolne  
coraz nieznośniejszemi, bo mię Ludwika wtedy słyszeć nie  
mogła, ona która obudzała we mnie prawdziwy zapal i  
żywe uczucie.

Moje odczyty przy Ludwice przemieniły się wyraźnie w go-  
dziny nauki, i odkryłem w niej nadzwyczajny talent do sce-  
ny, który myślałem że z nią do grobu pójdzie, bo nie spo-  
dziewałem się, aby się kiedykolwiek teatrowi poświęcić miała.

Pewnego dnia zaprowadziłem panie moje na nasze pu-  
bliczne ćwiczenia.

Przedstawiono *Bajazeta*, ale dama która miała przedsta-  
wiać *Atalidę* zasłaбла w chwili kiedy na nią kolej wysta-  
wienia przyszła. Niewiedzieliśmy co począć, gdy mi na-  
gle myśl przyszła, prosić Ludwikę aby tę rolę objęła.  
Wiedziała ją na pamięć, bośmy więcej niż dwadzieścia razy  
tę sztukę razem czytali, Ludwika zezwoliła, a matka po-  
wierzyła nam córkę z radością.

Prosiła tylko o wolność zatrzymania złotego welonu, na-  
co tem łatwiej zezwolić można było, gdyż miała przed-  
stawiać turecką księżniczkę. Ludwika nie tylko że się po-  
dobala, ale odniosła nadzwyczajny tryumf. Ja sam nie gra-  
łem nigdy lepiej *Bajazeta*, jak wtedy.

W piątym akcie przychodzi scena między *Roxaną* i *Ata-  
lidą* przy końcu której ta ostatnia mówi:  
„Jeżeli ciężkiej trzeba kary by zgładzić mój występ-  
to niech kata ręka nigdy go nie mści. O niestawaj nigdy  
przed tem sercem tak srogo ranionem, które splamiła krew  
przelana twoją ręką. O względy błagam dla miłości jego,  
niech męki jego moja krew okupi. Zanfaj mi, chwila tylko  
a moja śmierć utrwali twoje zamaćcone szczęście. Drogi ów  
bohater, on cię kochać będzie, ja śmierci się poświęcam —  
ty mu poświęć życie — precz ztąd, precz jam do czynu już go-  
towa — a gdy powrócisz już ci nie będę więcej przeszkodą.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

### Doniesienie.

Od 15<sup>go</sup> Września r. b. w Zakładzie moim rozpoczyna  
się nowy kurs naukowy — niniejszem wzywam szanownych  
Rodziców i Opiekunów, ażeby córki i pupilki swoje, które  
już w roku zeszłym do mnie uczęszczały, lub na wycho-  
wanie powierzone mi były, niemniej i te co mają u mnie  
z nowo poczynającym się rokiem szkolnym być umieszczone,  
nie dalej jak do ostatniego Września poprzywozili z wa-  
kacyj — a to dla tego, aby razem rozpocząć mogły nauki,  
i uniknęły później mozołu, chcąc wyrównać wcześniej przy-  
byłym. —  
Julia Goczałkowska.

Księgarnia **Karola Wilda** we Lwowie,  
otrzymała następujące nowości:

**Fuchalski D.** Powieści moralne dla włościan. 8vo. Warszawa 1849.

**Posag** uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Wiadomość history-  
czna. 8vo. Kraków. 1850. 45 kr.

**Meciszewski Hilary.** Do historii ustawodawstwa karnego, tudzież  
sejmów prawodawczych byłej Rpltej Krakowskiej. 8vo. Kra-  
ków 1849. 15 kr.

**Justyniana Instytucje.** z niemieckiego przełożył Alexander Cukro-  
wicz. 12vo. Kraków 1850. 2 Zł. 30 kr.

**Wrózka** nieomylna. Puścizna po panie Marji Lenormand w Paryżu.  
z 9 popiersiami najsławniejszych wrózek. 8o. Lwów 1850. 30 kr.

Wydawca: **Karol Wild.**

Redaktor: **Karol Widmann.**

Drukiem prasy pospiesznej **E. Winiarza** we Lwowie, przy ulicy krakowskiej pod l. 77.